W ogniu magii

Milena Dzikowska

W OGNIU MAGII

Milena Dzikowska

W ogniu magii — Milena Dzikowska

Copyright © by Milena Dzikowska, Warszawa 2026
Copyright © by Wydawnictwo vandom
Wszystkie prawa zastrzeżone. All rights reserved.
Kopiowanie, reprodukcja lub odczyt jakiegokolwiek fragmentu tej książki w środkach masowego przekazu wymaga pisemnej zgody autorki i wydawnictwa. Żaden z elementów tej książki nie powstał przy użyciu sztucznej inteligencji.

Redakcja: Vanessa Możdżer
Korekta: Agnieszka Kolenda
Korekta po składzie: Tobiasz Małysa, Vanessa Możdżer
Skład i łamanie: Tobiasz Małysa (www.grafista.pl)
Okładka: Aleksandra Wachulik
Grafiki wewnątrz: Vanessa Możdżer
Zdjęcie autorki: Paulina Siedlerska

Wydanie I

ISBN druk: 978-83-982977-4-5
ISBN e-book: 978-83-982977-5-2

Wydawnictwo vandom

www.wydawnictwo.vandom.pl
www.instagram.com/wydawnictwo_vandom
www.facebook.com/wydawnictwovandom
www.tiktok.com/@vandom_wydawnictwo

Dla Ciebie,

niech magia podaruje Ci chwilę zapomnienia.

Na skraju magii

(uwaga, streszczenie zawiera spoilery!)

Shep jest dworskim uzdrowicielem, który za romans z królową Lilet trafia do magicznego więzienia zwanego kopidołkiem. Zamieszkuje w jednym z najcięższych obozów, gdzie więźniowie wydobywają złoty kruszec. Szybko przekonuje się, jakie brutalne zasady tam panują. Skazani bywają torturowani, a strażnicy nie liczą się z ich życiem.

Shep nie potrafi przejść obok tego obojętnie. Zaczyna potajemnie leczyć więźniów i zaprzyjaźnia się ze starszym wojownikiem, Trusem. Kiedy jego działania wychodzą na jaw, Shep, Trus oraz dowódca obozu — Samir zostają skazani na śmierć. W dniu egzekucji obóz atakują golemy. Dzięki temu cała trójka ucieka. Dołącza do nich także Redrik — najemny zabójca.

Bohaterowie trafiają do obozu buntowników, którzy od dawna próbują znaleźć sposób na ucieczkę z kopidołka. Tam Shep poznaje między innymi Awalię, z którą z czasem zaczyna łączyć go uczucie, a Trus zakochuje się w Heście. Przywódca buntowników, Sagurt, zna sposób na zniszczenie magicznych granic więzienia. Do rytuału potrzebuje jednak oka golema oraz drugiego mystokraty — dlatego postanawia przemienić Shepa, który dzięki temu zaczyna władać magią.

W czasie, gdy Shep i ekipa ruszają po oko golema, ludzie króla odnajdują obóz buntowników. Na ich czele stoi Fedris. To jeden z najpotężniejszych mystokratów i krewny króla. Okazuje się, że

Sagurt, którego wiele lat wcześniej zamknięto w kopidołku, jest jego kuzynem i bratem władcy.

Ludzie Fedrisa atakują obóz i zabijają większość buntowników. Wśród ofiar znajduje się Awalia, którą zabija Vartrus — ukochany Fedrisa i brat Samira. Z masakry uchodzi Filja, uzdrowicielka, która odnajduje Shepa i resztę grupy i ostrzega ich przed zasadzką.

Shep przechodzi próbę przemiany w mystokratę, podczas której musi zmierzyć się z demonami i własnymi lękami. Udaje mu się zostać mystokratą, dzięki czemu wraz z Sagurtem może rozpocząć rytuał niszczący magiczne granice kopidołka.

Podczas ostatecznego starcia na wzgórzu Salona bohaterowie spotykają Fedrisa. Wtedy wychodzi na jaw, że Hesta była informatorką ludzi króla i to przez jej zdradę buntownicy zostali odnalezieni. Trus dowiaduje się, że kobieta, którą kochał, przyczyniła się do śmierci jego przyjaciół.

Bohaterom udaje się przechytrzyć Fedrisa i zniszczyć magiczne granice więzienia. W ostatniej chwili Sagurt jednak ucieka, zostawiając Shepa i pozostałych. Bohaterowie mimo wszystko kończą rytuał i wydostają się z kopidołka. Nie wiedzą, co kierowało Sagurtem.

To jednak dopiero początek. Fedris zdążył pojmać Samira i Filję. Shep, Trus i Gawet postanawiają więc ruszyć do stolicy, żeby ich odnaleźć i uratować. Będzie to wyzwanie, zwłaszcza że na świecie zaczynają się dziać dziwne rzeczy. Władający magią wpadają w szaleństwo, pojawiają się portale wyrzucające demony i inne dziwne twory.

PROLOG

Rok 571 Równowagi Bogów

— Najwyższa, jesteśmy na miejscu.

Morejra zignorowała słowa poddanej. Z zachwytem wbiła wzrok w krwistą mgiełkę. Ona żyła. Wiła się i dygotała pod wpływem ciepła w jaskini. Chociaż otulała ziemię, co jakiś czas wystrzeliwała w stronę sklepienia czerwoną poświatę, która przypominała chciwe macki.

— Kiedy tylko zeszliśmy na ląd, ruszyliśmy w głąb wyspy — powiedziała poddana i odruchowo potarła dłońmi ramiona pokryte kolorowymi tatuażami. — Dopiero drugiego dnia trafiliśmy do tej podziemnej jaskini. Ledwo ją odkryliśmy, bo była przysypana. Goser i Krejr nie odpuścili, długo odgarniali wejście. Najwyższa, sama widzisz, że zejście na dno zajęło cały dzień, ale oni się uparli. Ubzdurali sobie, że odkryją tu skarby.

— I odkryli — szepnęła Morejra i odgarnęła na plecy burzę kręconych włosów. Ostrożnie ruszyła w kierunku drgającej mgiełki. Poddana ze świstem wciągnęła powietrze, a potem zamilkła. Ciszę przerywał jedynie odgłos biżuterii z kości, która zdobiła uda, ramiona i szyję królowej. Morejra mocniej ścisnęła ostrą włócznię, dotknęła łuku na ramieniu. Fioletowe oczy błysnęły w ciemności. Szykowała się do walki.

— Najwyższa… — Towarzyszka nie odpuszczała, drepcząc za Morejrą. — Uważaj, proszę. Jak mówiłam, Goser wszedł w to coś… w tę mgłę i wtedy… ona… — głos dziewczyny się załamał — …ona go pożarła.

Morejra sięgnęła w głąb siebie i czule objęła ciepłe miejsce w okolicy serca. Pulsowało. Czyli jaskinię wypełniała moc. Poczuła magię ciemności, której dotknięcie powinno obudzić w niej odrazę jak u każdego mystokraty. O dziwo jednak, ta energia przeplatała się z czymś… miłym. Czułym. Pieszczotliwym.

Kuszącym.

— Bądźcie gotowi. Muszę… muszę jej dotknąć — rzuciła władczyni do towarzyszy, starając się ignorować coraz głośniejsze nawoływanie ciemnej magii.

— Najwyższa… — Rozległ się pełen sprzeciwu głos jednego z wojowników, którego wytatuowaną twarz wykrzywił grymas niedowierzania.

— Milcz, Kror. — Ucięła władczyni nieznoszącym sprzeciwu głosem. Gołymi stopami już prawie dotykała mgły. — Wiem, co robię. Jestem potężną mystokratką, waszą królową, kobietą Wód Horyzontu. Najsilniejszą spośród ludu. Nie kwestionuj moich decyzji. — Ostatnie słowa już wyszeptała, bo magia ciemności doprowadzała ją prawie do ekstazy. Jak to możliwe? Przecież zawsze czarna moc zdawała się nieprzyjemna. Więc skąd ta zmiana?

I zanim usłyszała odpowiedź Krora, mgła czule objęła jej ciało, a ona rozpłynęła się w żarłocznym dotyku.

Morejra otworzyła oczy z cichym westchnieniem. Nadal znajdowała się w jaskini, ale towarzysze zniknęli, a mgła oblepiała teraz każdy skrawek ściany. Oddychała. Kobieta sięgnęła po włócznię, ale niecierpliwą dłonią dotknęła tylko pustki.

— Nie obawiaj się.

Królowa zerwała się z ziemi i odwróciła z sykiem. Wyszczerzyła zęby. Przed nią stała wysoka i chuda postać, której twarz skrywał kaptur, a plecy otulał ciężki płaszcz w kolorze krwi. Żywy. Niczym płomienie tańczył, wił się, dygotał.

— Morejro, moja miła. Nie obawiaj się, powtarzam. Żyjesz. Jesteś w przedsionku bogów.

— Gdzie niby, do tysiąca demonów?! — Spróbowała sięgnąć do swojej mocy, ale bezskutecznie. Z przerażeniem stwierdziła, że jej nie czuje. Wcale.

— I nie straciłaś magii — dodała postać, jakby czytając w myślach władczyni. Głos istoty przypominał skrzypienie piasku pod stopami. — Zaraz wrócisz do jaskini, do swoich ludzi, do swego ciała. Ale najpierw musimy porozmawiać. Czekałem na ciebie. A raczej... czekaliśmy. — Nieznajomy górował nad nią niczym posąg.

Królowa przycisnęła spocone dłonie do piersi. Znowu poczuła przyjemną ekscytację, a magia ciemności lekko spłynęła po jej ciele. Morejra zmarszczyła brwi z niedowierzaniem. Przecież energia zawsze kumulowała się w okolicy serca, więc jak... Nieważne. Nie teraz. Oczyściła umysł.

— Nareszcie wolni. Stłamsili nas na długo, ale otworzyliście furtkę. Znowu. Czuję, jak wszystko się we mnie budzi. Woła. — W syczącym męskim głosie nieruchomej postaci zabrzmiała radość. Płaszcz zamruczał z zadowoleniem, na co ciało Morejry pokryła gęsia skórka.

— Mów, kim jesteś i czego chcesz! Jeśli nie... — Urwała, bo jak niby miała mu zagrozić? Czy to możliwe, ze znajdowała się pod wpływem demona? Ale jakim cudem dała się opętać ciemnej energii? Przecież eksperymentowała z mocami, poza tym... Mgła. Do tysiąca demonów, mgła! Czy to przez ten czerwony dym straciła rozum, a jej ludzie teraz trzymają ją w stalowym ucisku albo nawet pozbawiają życia?

— Piękna Morejro, moja miła, nie opętał cię demon. — To coś znowu czytało jej w myślach. Królowa parsknęła pod nosem. Co to za licho? — Już zmierzamy do sedna. Co byś powiedziała, gdybym zaproponował ci... nieograniczoną władzę?

— To znaczy? — Morejra przestąpiła z nogi na nogę.

— Najpotężniejszą władzę. Szacunek. Siłę.

— Mam to wszystko — odparła kobieta z nutką niecierpliwości, skrzyżowała ręce na piersi.

— Powiedziałem: nieograniczoną — dodał ostrzej nieznajomy. Głos nieprzyjemnie mu zgrzytnął, a płaszcz podskoczył jakby zniecierpliwiony. — Powiedzmy… władzę, która obejmie cały świat. Każdą krainę. Dosłownie. Ale w zamian chcę jednej rzeczy.

Znowu spięła mięśnie i bezwiednie sięgnęła po łuk, ale zorientowała się, że broń zniknęła.

— Jakiej?

— Dam ci flakonik — wyszeptała czule tajemnicza postać, po czym postąpiła kilka kroków w stronę królowej. Krwista mgła zaczęła spływać ze ścian jaskini. — Wypełniony magią z samego świata bogów. Wybierz kilkoro ludzi i dopilnuj, aby zostawili nieco tej mocy w każdej krainie. Wystarczy, że wypuszczą ją do rzek. Kropelkę. W ten sposób osłabimy innych władających, a ty bez trudu przejmiesz panowanie. Będziemy szerzyć sprawiedliwość boga… boga Tidele.

Morejra znieruchomiała. Bóg Tidele, którego i tak czcił lud Wód Horyzontu. Bóg zła, ciemności, demonów.

— Za mało się starasz… — rzuciła zaczepnie, unosząc podbródek. Nawet nie zauważyła, że krwista mgła skumulowała się za jej plecami, dopóki nie poczuła w swoich ciemnych włosach jej delikatnego tchnienia, które pchało ją w stronę nieznajomego. Bezwiednie ruszyła do przodu, a odgłos kościanej biżuterii wypełnił jaskinię. — Dlaczego niby mam ci wierzyć? Czemu ja? I skąd pewność, że…

— Podejdź do mnie, moja miła. Ponegocjujemy. Podaj mi rękę. Gdy skończymy, przyprowadzisz swój lud. Dotkną mgły. Już nie jest dla nich niebezpieczna, ponieważ ty jako mystokratka, jako Wielmożna władająca wszystkimi mocami otworzyłaś dla nich furtkę.

Morejra miała wrażenie, że jej ciało nie należy do niej. Czuła się jak pijana. Mimowolnie wyciągnęła wytatuowane palce ku demonowi.

CZĘŚĆ I

ROZDZIAŁ 1

Rok 573 Równowagi Bogów

Gdy król Derek umierał, słońce po raz pierwszy od wielu dni wyjrzało zza chmur skąpanych w odcieniu brudnej szarości. Końcówka zimy była wyjątkowo paskudna, dlatego mieszkańcy Persey wylegli na ulice i z błogimi uśmiechami wystawili twarze w stronę błękitnych smug nieba.

W królewskiej komnacie panowała grobowa cisza przerywana krótkimi szlochami królowej — płomiennowłosej Lilet. Druga żona władcy, Wielmożna Galet, stała w kącie ze spuszczonym wzrokiem. Wnętrze leniwie rozświetliły promienie, które gładko przesuwały się po pozłacanym łożu i spoczywającym na nim Dereku.

Fedris w zamyśleniu wpatrywał się w zlaną potem twarz umierającego brata. Bezwiednie przejechał smukłymi palcami po niewielkiej bliźnie ciągnącej się przez kość policzkową — pamiątce po niedawnym starciu z Sagurtem i jego pupilkiem Shepem na wzgórzu Salona.

Gwałtownie odsunął od siebie żenujące wspomnienie potyczki. Przeniósł wzrok na Lilet, której włosy zamieniły się w kołtuny, a opuchnięta od płaczu twarz pierwszy raz od dawna nie była ozdobiona wyniosłym uśmieszkiem. Królowa płakała, ale nie z żalu nad umierającym mężem, lecz z przerażenia. Dlatego co jakiś czas z trwogą zerkała na Fedrisa, a jej palce odruchowo zaciskały się na aksamitnej chusteczce.

Zapewne myślała, że umrze, gdy tylko Derek wyzionie ducha, zwłaszcza że nie urodziła potomka. Była bezużyteczna, a z królem na łożu śmierci znaczyła na dworze mniej niż służba. Fedris nie planował jednak zabijać Lilet — lud nie przyjąłby egzekucji dobrze. Odeśle tę przebiegłą dziewkę daleko, może rodzina przyjmie ją z powrotem, a jeśli nie, to odda jej któryś z dworków położonych jak najdalej od stolicy.

Nagłe pukanie do drzwi wybrzmiało prawie jak krzyk w spowitej ciszą komnacie. Do wnętrza wsunął się jeden z bliskich doradców króla, siwobrody Dreks. Pochylił głowę w stronę łoża, oddając hołd władcy, po czym w milczeniu ruszył w stronę Fedrisa.

— Najwyższy Wielmożny. — Mystokrata przeczesał gęstą brodę palcami. — Uzdrowiciele są bezradni. Wszyscy. Serce króla słabnie. Chyba pozostało nam czekać na… — Zawiesił głos i przesunął czujnym wzrokiem po Lilet, Galet i dwóch strażnikach.

— Wiem. — Uciął Fedris, nie odrywając wzroku od twarzy konającego brata. Dopiero po chwili skinął głową na doradcę i odeszli na bok. Gdy stanęli nieopodal drzwi, sięgnął w głąb magii i otoczył ich dźwiękoszczelną barierą. — Rozpocznijcie przygotowania do pogrzebu. I do koronacji.

— Oczywiście, Najwyższy Wielmożny, będzie tak, jak rozkażesz.

Fedris westchnął. Teraz, gdy miał tron na wyciągnięcie ręki, poczuł przytłaczający ciężar. Oczywiście, że chciał prędzej czy później odebrać władzę nieudolnemu bratu, ale nie planował przewrotu w najbliższym czasie. Zwłaszcza że mieli na głowie żądnego zemsty Beristosa, aktualnie zwącego się Sagurtem, którego już nie mógł lekceważyć.

To jednak była drobnostka w porównaniu z drugim, ogromnym problemem — Wielmożni masowo popadali w obłęd. On sam coraz częściej miewał koszmary i dziwne przebłyski… A do tego był jeszcze twór przypominający galaretę, który zagnieździł się

w podziemiach pałacu. Rósł i nawet najpotężniejsza magia nie była w stanie go unicestwić. Fedris miał przeczucia… Podłe przeczucia.

— Wiemy coś o Sagurcie? — spytał cicho, pochyliwszy się w stronę starszego mystokraty.

— Najwyższy Wielmożny, niestety nie mamy żadnych wieści. Podejrzewam, że szuka odpowiedniego momentu, żeby zaatakować, być może zbiera najemników. A może zechce podstępem wkraść się do pałacu… Ciężko stwierdzić — odparł Dreks, z żalem kręcąc głową. — Zgodnie z rozkazem zmobilizowaliśmy dziesiątki oddziałów straży, które myślą, że szukają zwykłego oszalałego Wielmożnego. Bo oczywiście nikt nie wie, że Sagurt jest waszym bratem, prawowitym następcą tronu, którego się pozbyliście…

— Nie miel jadaczką, głupcze — syknął Fedris. — Nigdy, rozumiesz, nigdy nie mów o tym głośno. Zwłaszcza gdy otaczają nas inni.

— Wybacz, Najwyższy Wielmożny, myślałem, że bariera…

— Nie obchodzi mnie, co myślałeś. Musisz odnaleźć Sagurta. A teraz odejdź. Zajmijcie się tworem z lochów, potraktujcie go nowym demonicznym zaklęciem. Już.

Dreks z szacunkiem pochylił głowę i posłusznie wycofał się w kierunku drzwi. Fedris przymknął oczy, wziął głęboki wdech, po czym wypuścił powietrze z sykiem, mocniej zaciskając powieki. Gdy je otworzył, jego tęczówki w kolorze obsydianu płonęły. Ostatnio zbyt często się denerwował, co nie służyło trzymaniu krainy Persey w ryzach — a wszystko wskazywało na to, że teraz powinien być jeszcze czujniejszy niż dotychczas.

— Na dupę golema, nie myślisz, że przesiadywanie w tawernie to głupi pomysł? Teraz, kiedy na karku mamy każdego, dosłownie każdego strażnika w królestwie?

Shep wzdrygnął się, gdy z zamyślenia wyrwał go poirytowany głos Trusa. Siedzieli na ławie w kącie gospody śmierdzącej zwietrzałym gorem, potem i łajnem, a z ich ciemnych, ubłoconych płaszczów spływał topniejący śnieg. Chociaż kryli się w cieniu, a w tawernie panował ogromny tłok i wszyscy byli zajęci huczną popijawą, nieustannie miał wrażenie, że są obserwowani.

Jego przyjaciel zrobił się nerwowy, bardzo nerwowy, co udzielało się całej grupce. I nie, żeby była ona liczna — towarzyszył im tylko Gawet, który akurat stał na czatach na zewnątrz.

— Nie przesiadujemy, tylko czekamy na ciepły posiłek, który zapakujemy w tobołki. I spadamy — odpowiedział Shep na tyle spokojnie, na ile był w stanie. Magia delikatnie zawibrowała mu w piersi, pobudzona jego irytacją.

— Wiem, ale...

— Tak, widziałem, że w tym zasranym królestwie na prawie każdym drzewie powiesili listy gończe z naszymi podobiznami. Na szczęście niezbyt udanymi. Ludzie nie rozpoznają nas od razu. Trus, sam widziałeś, jak namalowali twoje wąsy. A mój nos...

— Shep, nie gadaj tyle! Bogowie! Jakby cię golem użarł w dupę. Nie ściągajmy na siebie uwagi. — Uciął Trus i jeszcze głębiej schował głowę w ramionach. Jego czujne oczy lśniły w gęstym półmroku głęboko zaciągniętego na twarz kaptura. — Zachciało nam się ciepłego posiłku. Też mi coś! Do tej pory jakoś te twoje korzonki, owoce i upolowane srożyce nam wystarczały...

— Przypominam, że polowaliśmy i zbieraliśmy korzonki i inne rośliny odporne na zimę w lesie. — Shep przewrócił oczami, a jego magia zadrgała mocniej. — Nie mamy zapasów, a w mieście musimy coś jeść. Wiem, że zaczyna się wiosna, ale rośliny nam nie wystarczą, żeby przeżyć.

— Bogowie, skaranie...

— Tchórzysz? Od kiedy zrobiłeś się taki delikatny?

— Nie tchórzę! Ale wyobraź sobie, że pierwszy raz od lat jestem na wolności. I chciałbym dorwać Hestę, a nie dać się zabić pierwszego dnia w stolicy.

— Cieszmy się, że cali i zdrowi dotarliśmy do krainy Persey. I swoją drogą, Fedris pewnie już dawno pozbył się Hesty. — Uciął Shep. Ze skrzyżowanymi na piersi rękami oparł się o ścianę. — Wydawało się to niemożliwe, a jednak jesteśmy w jednej z tawern w stolicy. I jeśli bogowie pozwolą, już jutro uwolnimy Samira i Filję. O ile jeszcze żyją... — Ostatnie zdanie wypowiedział już bez entuzjazmu.

— Oczywiście, że żyją. — Głos Trusa brzmiał pewnie. — Myślę, że przybyliśmy do Persey niewiele później niż Fedris z jeńcami. Wiem, że oni od początku jechali konno i zapewne mieli mniej perypetii po drodze niż my...

— Ale na szczęście też zdobyliśmy konie i być może rzeczywiście nie przybyliśmy do stolicy dużo później — dokończył Shep, siląc się na namiastkę entuzjazmu. — No gdzie to żarcie?

— Chciałeś powiedzieć, że ukradliśmy konie w najbliższej wiosce za kopidołkiem. I jedzenie. I wiele rzeczy — zaakcentował ostatnie słowa dawny vanitos. — Ale zły czyn popełniony w szlachetnym celu waży o połowę mniej — dokończył, błyskając zębami.

Shep uśmiechnął się pod nosem. Taką wersję przyjaciela lubił najbardziej. Szybko jednak spoważniał, kiedy zobaczył, że w ich stronę chwiejnym krokiem idzie brodaty mężczyzna. Uzdrowiciel wstał i spojrzał porozumiewawczo na Trusa. Bez słowa ruszyli do karczmarza, przeciskając się między stolikami. Mężczyzna od niechcenia podał im posiłek, a raczej prawie rzucił miską o blat. Shep pośpiesznie pakował jedzenie do tobołka, kiedy tuż obok stanął śmierdzący zwietrzałym gorem szczerbaty mężczyzna.

— Oho, doigraliśmy się... Spadamy... — Trus już szykował się do wyjścia.

— Panowie, nie macie poratować wolarem? Tylko jednym. W ryju mi zaschło, a przegrałem wszystko, demon to srał — wyseplenił nieznajomy.

— Co się dzieje w mieście? — Niby od niechcenia rzucił Shep, wcisnąwszy w dłoń bezzębnego żebraka wolara, na co Trus zareagował oburzonym prychnięciem. — Wracamy z dalekiej podróży i ciekawi jesteśmy, co słychać w stolicy.

— Panie, źle jest... — odparł tamten, nachyliwszy się konspiracyjnie. Pogładził rudą brodę brudną dłonią. — Król dogorywa.

Shep ledwo ukrył zaskoczenie, chociaż i tak wyszło mu to zdecydowanie lepiej niż Trusowi, który aż wciągnął powietrze.

— Co ty mówisz, chłopie? — spytał uzdrowiciel, siląc się na neutralny ton. Magia w jego piersi szarpnęła się niespokojnie, pobudzona wzburzeniem. Shep dopiero niedawno dołączył do grona mystokratów, nie uczęszczał do żadnej magicznej akademii, a co gorsza, nie miał kiedy ćwiczyć nowo zdobytych umiejętności. Ledwie panował nad większością z nich.

— Mówią, że nie tylko wpadł w obłęd, ale i jego serce nie dźwignęło troski. — Pijak pokręcił głową i zacmokał pod czerwonym nosem. — Ledwo zipie, ledwo. Powiadają, że może umrzeć nawet tej nocy. Najwyższy Wielmożny Fedris już czeka, aż brat wyzionie ducha. A ludzie się boją. Bo Najwyższy bywa okrutny. Sprawiedliwy, to prawda nad prawdami, ale okrutny. I kto wie, jaki będzie wobec ludu.

— Sprawiedliwość i okrucieństwo często czerpią z tego samego źródła — odparł Trus, mocniej naciągając kaptur. — Shep, my chyba musimy...

— Ale to nie koniec, panowie. — Żebrak konspiracyjnie pochylił się w ich stronę, czknął głośno. — Wielmożni... nasi najpotężniejsi mystokraci chorują. Miesza im się w głowach. Już kilku... — Tu

żebrak wykonał kciukiem gest, który przypominał założenie stryczka na szyję.

— Czyś ty postradał rozum? — sapnął z niedowierzaniem Trus.

— Prawdę powiadam, jak Antele mi świadkiem. Tęgie głowy szukają powodu, ale na próżno. Fedris będzie miał problem, oj, będzie miał, gdy przywdzieje koronę. Ale ponoć to nie tylko w Persey, w innych krainach też. Biada nam. To świeża sprawa, ale pewnikiem coś się dzieje. Będzie dym, mówię. Świat się skończy.

Gdy Shep, pełen niedowierzania i wątpliwości, obracał w głowie słowa nieznajomego, przez masywne drzwi karczmy wtoczyła się grupka przemokniętych mężczyzn.

— Shep... — syknął pod nosem Trus i sięgnął do prawego boku, gdzie ukrywał miecz.

Uzdrowiciel czujnym wzrokiem zmierzył nowo przybyłych. I struchlał. Pozłacane zbroje i krótkie płaszcze z ciemnoczerwonym szwem. Strażnicy niższej kasty. Towarzyszyła im jednak jeszcze jedna postać — pod jej długim, ciemnym futrem migała złota szata. Mystokrata ducha.

To nie mogło się dobrze skończyć.

Shep nie czekał. Razem z Trusem wtopił się w tłum. Ruszyli przed siebie z cichą nadzieją, że ominą wkraczającą do wnętrza grupkę. Tamci właśnie kierowali się do kontuaru. Uzdrowiciel uświadomił sobie jednak, że nie pójdzie gładko, gdy tylko mystokrata ducha obrócił się nagle i wbił w nich czujne spojrzenie oczu, w których błysnęły złote ogniki magii. Oczywiście musiał wyczuć energię w pomieszczeniu. I oczywiście, że podejrzenia, zresztą słuszne, padły na nich.

— Panowie. — Rozległ się dźwięczny głos władającego magią, gdy tylko wraz ze strażnikami zbliżył się do nich na wyciągnięcie ręki. — Sprawdzaliście już tę tawernę?

Shep poczuł, jak serce podchodzi mu do gardła. W tym momencie zyskał całkowitą pewność, że chodzi o nich. Fedris zapewne niestrudzenie ich szukał i wysyłał patrole.

— Tak, czysto. Zbiegów tutaj nie było — rzucił tylko przez ramię uzdrowiciel, odrobinę zwalniając kroku. — Śpieszymy się, więc wybaczcie…

Nieznajomy mystokrata znieruchomiał, a na jego młodej twarzy wykwitła konsternacja. Strażnicy poruszyli się niespokojnie. Shep westchnął i tylko utwierdził się w przekonaniu, że nie wyjdą ze spotkania cało.

— O czym ty mówisz? — spytał mystokrata, a w jego głosie zadrżała podejrzliwość. Płynne złoto rozświetliło mu oczy.

— No, zbiegowie. Nie było ich tutaj.

— Jacy zbiegowie? Przecież sprawdzamy tawerny w tym okręgu, żeby znaleźć gniazdo byrojadów podtruwających zapasy w spiżarniach. O czym mówicie? Co… kim…

Czyli nie chodziło o nich.

Auć.

— Kaptury z głów — rozkazał mystokrata głosem już kipiącym od podejrzliwości, a strażnicy jak na rozkaz obwarowali wyjście.

Shep rzucił szybkie spojrzenie Trusowi i delikatnie dotknął prawego boku. Dał sygnał — walczymy. Sam już sięgał obok serca w głąb magii, która drżała z niecierpliwości. Oby tylko nie rozwalił całej tawerny, oby nie skrzywdził siebie i przyjaciół, oby tylko moc była mu posłuszna. Chociaż odrobinę. Co prawda już nieraz jej używał, a z każdym kolejnym szło mu coraz lepiej, ale…

Mystokrata ducha wycelował w Shepa wiązkę bólu.

Uzdrowiciel skulił się, a z jego ust wyrwało się stłumione westchnienie cierpienia. Energia niekontrolowanie spłynęła po jego ciele. Moc odrzuciła Shepa w tył — z impetem wpadł na ludzi, którzy

krzyknęli zaskoczeni. Upadł, przetoczył się na bok i niezdarnie zerwał z podłogi. Ucichło. Goście spojrzeli w stronę źródła hałasu. Struchleli. A potem zerwali się z miejsc, pomieszczenie wypełniły krzyki, dźwięk tłuczonego szkła i przewracanych stolików.

Wrogi mystokrata i towarzysząca mu świta właśnie gramolili się z podłogi — widocznie dostali rykoszetem od magicznej lawiny, której Shep nie opanował w porę.

Przepełniona tawerna wypełniła się głośnymi pokrzykiwaniami i szczękiem żelaza, a ostrza zamigotały w blasku świec. Dwóch mężczyzn przy kontuarze zaczęło prać się po gębach. Karczmarz rzucił pustym kuflem w jednego z gości, który próbował przy okazji zwędzić butelkę goru.

Gawet wpadł do wnętrza, rozejrzał się gwałtownie, a potem błyskawicznie poderwał zamroczonego Trusa z podłogi.

Shep chyłkiem przemknął do wybitego okna. Zgrabnie wyminął jednego z bywalców, który padł na twarz popchnięty przez jakiegoś osiłka. Uzdrowiciel spróbował wyłowić wzrokiem towarzyszy. Najpierw mignął mu potężny Gawet, który właśnie uraczył strażnika siarczystym kopniakiem w plecy. Potem zauważył Trusa — kompan jednym susem przeskoczył stolik, jednocześnie tnąc drugiego strażnika mieczem po brodzie. Tamten nie odpuszczał. Skoczyli ku sobie, zwarli miecze, zaryczeli.

A gdzie podział się mystokrata? Shep przykucnął przy oknie i wytężył wzrok. Dopiero po dłuższej chwili we wszechobecnym zamieszaniu zauważył władającego mocą. Krył się za jednym ze stolików ozdobionych potłuczonym szkłem. Uzdrowiciel pomyślał przelotnie, że całe szczęście, że szkło należy do tańszych tworzyw w krainie — może więc właściciel zdoła jakoś naprawić szkody.

Shep odegnał dziwnie niepasującą do sytuacji myśl i skrzyżował spojrzenie z przeciwnikiem. Tamten zmarszczył brwi. Uzdrowiciel

w ostatniej chwili schował głowę pod stołem, bo powietrze nad nim przecięła wiązka ognia.

W pośpiechu sięgnął po moc. Za szybko, bo spłynęła z niego niczym strugi deszczu. Szlag, zaraz wyzuje się z niej całkowicie i nawet w pełni świadomie nie wyczaruje ani jednego zaklęcia. Tuż obok jego głowy przeleciał szklany kufel. Shep zaklął szpetnie.

Jeszcze raz, ale spokojniej. Jak to było? Jest kilka metod rzucania zaklęć. Mógł zwizualizować energię i jej efekt, posłużyć się melodią, a nawet nadać jej kierunek, kształt i moc emocjami. Początkujący mystokraci korzystali z pierwszego sposobu. Nie pozostało mu więc nic innego, jak zrobić tak samo.

Shep dotknął złotej energii zgromadzonej obok serca i skierował wiązkę w kierunku dłoni, a potem czubków palców. Poczuł, jak potężnie wibruje mu na skórze. Wypchnął moc w stronę mystokraty, a jednocześnie nadal starał się utrzymywać barierę nad głową. Żółta kaskada cięła powietrze i tęgo uderzyła w magiczną tarczę przeciwnika. Mężczyzna sapnął i rzucił Shepowi pełne zdziwienia spojrzenie.

Uzdrowiciel, chociaż teraz już można rzec: początkujący mystokrata, nie czekał. Wypuścił drugi, silniejszy strumień, tym razem ledwo panując nad wzbierającą energią. Uderzył w twarz przeciwnika i żarłocznie oplótł jego skronie. Tamten zwinął się z bólu, upadł. Objął oburącz głowę. Zawył. Shep kątem oka dostrzegł Gaweta, który wręcz tanecznie wykonał cięcie w piruecie — dwóch strażników padło na wilgotne deski tawerny. Znieruchomieli.

— Przez okno! — Usłyszał tuż obok głos Trusa, który w pośpiechu chował miecz do pochwy. — Wyłaź!

Wrogi mystokrata nadal cierpiał, ale już zaczął niezdarnie unosić się na łokciu. Nie odpuszczał, uparta bestia. Shep sięgnął po

moc i z zaskoczeniem stwierdził, że jeszcze ma jej zapas. Wypuścił kolejną wiązkę, nieco słabszą, i znowu rozłożył mężczyznę na deskach.

— Dalej, zaraz wpadnie tutaj zgraja strażników — syknął były vanitos, jednocześnie ponaglająco machając na Gaweta, który sprawdzał, czy przeciwnicy żyją.

Shep wygramolił się przez okno, z trudem manewrując między resztkami szkła, po czym wyłożył się na śliskim od wilgoci bruku.

— Oczywiście nie mogliśmy przybyć do stolicy w spokoju... — Za jego plecami rozległo się sapnięcie Trusa. — To byłby cud...

Ostatni przez okno wytoczył się Gawet, który z jękiem upadł na bok.

— W lewo! — Shep ponaglił wstających z ziemi przyjaciół. — Do dzielnicy biedoty, Łachmanowego Dołka!

Pędem ruszyli we wskazanym kierunku, a jedynym dźwiękiem niosącym się po ulicy był chaotyczny tupot przemoczonych butów.

Wiedziała, że i tak umrze. Dlatego nie powie im nic. Nie wyduszą z niej ani słowa.

— Dziewczyno, dobrze wiesz, że następny etap obejmuje tortury. A tego nie chcesz. Wyczuwam twój zimny strach, pełen rozpaczy lęk. Boisz się. Przeraźliwie. — Dreks pochylił się w stronę Filji, a w jego oczach mignęły czarne ogniki magii.

Zacisnęła usta i dumnie odwróciła głowę. Siedzieli w wilgotnej celi, w której nie było nic poza zapleśniałym materacem i oślizgłymi robakami. Ciasnota pomieszczenia przytłaczała, nie wspominając o obecności mystokraty. Dziewczyna czuła, jakby wysłannik Fedrisa zabierał jej tlen. I może zresztą to robił.

— Nie jesteś nic winna Sagurtowi. Ani Shepowi. Jeśli cokolwiek wiesz, mów. Ty nie zrobiłaś nic złego, dlatego przeżyjesz. Ale musisz powiedzieć wszystko.

— A demon cię grzmocił — rzuciła Filja, a potem jeszcze mocniej zacisnęła usta. Nie miała zamiaru współpracować z żadnym mystokratą. Zwłaszcza człowiekiem króla. No i może trochę nie chciała, żeby pojmali Sagurta i Shepa. Tylko trochę. W końcu uratowali jej życie.

— Dobrze mówi! — Z celi naprzeciwko rozległ się pełen satysfakcji głos.

Dreks odsunął się nieznacznie i z politowaniem pokręcił głową.

— Samirze, nie przewidywałem, że spotkamy się w takich okolicznościach. — Wielmożny zacmokał z dezaprobatą. — Naczelny dowódca wojsk króla, Głównego Sztandaru Miecza, pierwszy spośród galapos... Kiedyś. A teraz? Zdrajca władcy, krainy i własnych wartości. Jesteś z siebie dumny?

— Nic nie wiesz, starcze — wysyczał Samir, zaciskając dłonie na kratach. Ciemne włosy opadały mu na orzechowe oczy, które błyszczały w półmroku. — Będę rozmawiał jedynie z królem. Wyjaśnię mu sytuację. Tylko jemu, żeby była jasność. Albo przyślij tutaj Vartrusa. Dlaczego go nie ma? Czyżby mój brat bał się spojrzeć mi w oczy? Tchórzy? Pojmał mnie, a teraz umywa ręce?

Dreks wpatrywał się przez chwilę w Filję, po czym wstał z westchnieniem, wygładził szatę i bez słowa ruszył w kierunku wyjścia. Kręcąc głową z dezaprobatą, opuścił podziemne więzienie, a lochy spowiła pełna niepokoju cisza.

— Dlaczego nie robi nam krzywdy? — Pierwsza odezwała się Filja, otuliwszy kolana ramionami. Ze złością uzmysłowiła sobie, że głos jej drży.

— Nie może bez zgody władcy — odpowiedział Samir, który nadal nie puścił zimnych krat celi. — Ale następnym razem wróci już zadać nam ból. Dlatego lepiej, żebyśmy wcześniej się ulotnili.

Przez chwilę milczeli, zajęci własnymi myślami.

— Co robimy? Czy mamy jakąkolwiek szansę? Co dalej? — Po plecach Filji spłynęły ciarki.

— Wymyślę coś, nie pozwolę, żebyśmy umarli zapomniani pod królewskim pałacem.

Lochy znów na moment ogarnęła cisza, ciężka niczym napór kamiennych ścian.

— Może rzeczywiście pozwolą ci porozmawiać z władcą. Albo chociaż z twoim bratem, Vartrusem. — Filja mocniej otuliła się ramionami, sama nie wierząc we własne słowa.

— Nigdy nie mieliśmy zbyt dobrych relacji, więc nie zdziwi mnie, jeśli nawet nie będzie chciał mnie wysłuchać. Może ojciec mógłby pomóc, chociaż on pewnie nawet nie wie, co się ze mną dzieje — odpowiedział niechętnie Samir. — Ale nie oddam skóry tak łatwo. Nie oddamy.

Filja nie odpowiedziała. Ciągle zastanawiała się, jakim cudem wpakowała się w to bagno, w zasadzie na własne życzenie. Jeszcze nie tak dawno temu leczyła buntowników w obozie Oświeconego, czyli Sagurta. A potem wszystko się posypało. Ludzie króla zniszczyli obóz, a ona wplątała się w problemy prawie obcych jej mężczyzn. I z przytupem weszła w samo serce konfliktu z władcą, zostając wspólniczką zdrajców.

— Skoro i tak siedzimy tutaj, zatopieni w niewesołych myślach, to może lepiej… pogadajmy? — spytał nagle Samir, oparłszy się o wilgotną ścianę.

— Tak jakbyśmy nie rozmawiali codziennie — rzuciła z przekąsem. — Poznałam już wszystkie typy broni galapos, wiem nawet, jak ostrzy się metal, nie zapomniałeś mi też powiedzieć o…

— Dlaczego byłaś w więzieniu? — przerwał, z zaciekawieniem przechylając głowę w bok.

— A po co ci to wiedzieć? — odparowała nieco poirytowana, bo nie lubiła wracać do przeszłości. Poczuła, jak zakurzone, upchane w dalsze zakamarki świadomości wspomnienia odzywają się cicho. Szafirowe oczy siostry, pełen wyrzutów krzyk matki, przystojna twarz młodego mystokraty... Wepchnęła je z powrotem w najciemniejszy kąt umysłu i zatrzasnęła za nimi mentalne drzwi.

— Podziwiam cię — powiedział miękko i skrzyżował ręce na piersi. Spoglądał na nią zza niesfornych kosmyków opadających mu na czoło. — Jesteś zwykłą uzdrowicielką, która w ostatnich tygodniach przeszła piekło. Widziałaś śmierć towarzyszy w obozie, mimo parszywej zimy odnalazłaś nas i ostrzegłaś, a potem wpadłaś w sam środek starcia potężnych mystokratów. Nie mówiąc o tym, że teraz siedzisz uwięziona w celi pełnej robali i czekasz na tortury. Bardzo dobrze to wszystko znosisz.

— Dziękuję, że przypominasz mi o tym, że będę cierpieć — rzuciła, siląc się na obojętny ton. Nie chciała, żeby zobaczył, jak poruszyła ją ta pochwała. Rzadko słyszała miłe słowa. — I dlatego musimy rozmawiać o mnie?

— Oczywiście, że nie. Nigdy nie nalegałem i teraz też nie nalegam. — Uciął i mogłaby przysiąc, że cień uśmiechu przemknął mu przez usta. Na pewno, bo zauważyła, że jego wydatne kości policzkowe są jeszcze mocniej zarysowane.

— Zabiłam mystokratę — odparowała. Sama nie wiedziała, dlaczego jednak zechciała mu o tym powiedzieć, dlaczego słowa uleciały z jej ust szybciej niż kłęby pary. Z jednej strony poczuła dziwną ulgę, jakby zrzuciła z ramion ciężki tobołek, a z drugiej ukłucie złości. Przed oczami mignęła jej urokliwa twarz znienawidzonego władającego mocą i duże oczy siostry, w których ból i przerażenie zamarły na wieki. — Skrzywdził moją siostrę, zamordował ojca,

wygnał matkę. I nie pytaj, jak pozbawiłam go życia i jaką cenę za to zapłaciłam. Jestem uzdrowicielką. I kobietą. Wiedziałam, jak go zniszczyć.

— Rozumiem. — Była wdzięczna, że nie słyszy w głosie wojownika litości, że nie powiedział, że jej współczuje. — Teraz już rozumiem, dlaczego nie przepadasz za mystokratami…

— Jako uzdrowicielka z prowincji rzadko miałam z nimi styczność — wyszeptała, znowu zła, że głos jej zadrżał. — A gdy nasze światy się zetknęły… zniszczyli moją rodzinę. Ale wystarczy. Teraz wiemy o sobie więcej, prawda?

— Teraz mam wrażenie, że w jedną chwilę poznałem cię lepiej niż przez kilka ostatnich miesięcy — odpowiedział Samir i z szacunkiem pochylił głowę.

Na chwilę zamilkli. Nie musiał wiedzieć, że jest pierwszą osobą, której opowiedziała o zbrodni. Na ten moment tyle informacji wystarczyło.



ROZDZIAŁ 2

Kraina Persey była duszą świata.

I to nie tylko dlatego, że leżała na złożach złotego kruszcu, najcenniejszego surowca na świecie. Przede wszystkim żadne inne państwo nie zrzeszało tylu władających mocą, co stolica Persey — Mafrona.

To właśnie w Mafronie Wielmożni i mystokraci ducha, ciemności i żywiołów stanowili największą potęgę, wzmacniali armię, piastowali doradcze stanowiska i wykładali w akademiach. Dlatego też poniekąd kraina Persey była najbezpieczniejszym miejscem na ziemi, zwłaszcza w porównaniu do ziem ludu Wód Horyzontu wiodącego wędrowne życie, czy krainy Masiris, gdzie mystokratów szkalowano i trzymano pod kluczem.

Gdy Shep przemierzał wilgotne, śmierdzące stęchlizną i smutkiem uliczki biedoty, nie rozpoznawał jednak potęgi swego domu. Ciemne, smętne alejki odpychały. Gdzieniegdzie zza okien migały nieprzyjazne twarze, a w lichych domkach zlepionych z szarego kamienia lub drewna rozlegały się piski dzieci i okrzyki awanturujących się mężczyzn.

Jakże wielki kontrast stanowiły te zatęchłe rejony względem oświetlanych kolorowymi kulami korytarzy i pozłacanych komnat w królewskim pałacu, w którym Shep mieszkał przecież tyle lat jako syn najważniejszego uzdrowiciela. Potężne, dębowe stoły, ciężkie

zasłony w kolorze karminu, posadzki wysadzane magicznymi kamieniami… to wszystko jawiło się jako zamierzchły sen.

Doskonale wiedział, że pozostałe dzielnice stolicy nie przypominają Łachmanowego Dołka. Im bliżej rynku, tym więcej domów wdzięczyło się fasadami z marmuru pokrytymi kolorowymi kryształami. Ale tutaj czuł się, jakby nie wrócił do Persey, a nadal planował ucieczkę z więziennego kopidołka.

— Ci ludzie… — szepnął Gawet, mocniej naciągając kaptur na łysą, wytatuowaną podobnie jak całe ciało, czaszkę — są niebezpieczni. Sprzedadzą nas prędzej niż szlachta.

— Niekoniecznie — odparł Shep, przeskakując nad kałużą. — Znam stolicę jak własną kieszeń. W Łachmanowym Dołku biedota interesuje się swoimi sprawami. Zauważcie, że nie mijamy żadnych listów gończych z naszymi podobiznami. Biedota niechętnie współpracuje z królem, robią wszystko na przekór. A widok podróżników o różnej aparycji to dla nich codzienność.

— Oby. Miejmy też nadzieję, że w okolicy nie wędruje kilka magicznych patroli, które nas szukają — odparł Gawet, zerknąwszy z ukosa na Shepa. — Znajdźmy więc jakiekolwiek ustronne miejsce i zastanówmy się, co dalej.

— I zjedzmy w końcu — sapnął Trus, mocniej ściskając tobołek z tawernianym posiłkiem. — Niech ta wizyta w gospodzie nie pójdzie na marne. Chyba rozwaliliśmy karczmarzowi wszystkie stoliki. I mam radosne wrażenie, że zapłaci za to tamten mystokrata i jego świta…

Skręcili w jedną z węższych uliczek, a Shep miał ogromną nadzieję, że w tej okolicy nadal znajduje się kilka pustych chat. Wystarczyła nawet niewielka ruina, po prostu musieli usiąść, zjeść, rozgrzać się i zdecydować, jak uwolnią Samira i Filję z królewskich lochów.

Na szczęście nie mylił się i dość prędko trafili na opustoszałe siedziby. W dwóch ruderach drzemali opatuleni od stóp do głów

bezdomni, a w trzeciej dzieciaki obrzucały się kamieniami. I kiedy Shep już tracił nadzieję, że znajdą schronienie w tej dzielnicy, wreszcie natknęli się na niewielki domek, który zamieszkiwały popiskujące szczurojady.

Śmierdziało zgnilizną i błotem. Zawalony dach, wybitne okna, połamany stół i resztki spleśniałego materaca wyglądały odpychająco, ale natychmiast spałaszowali letni już posiłek, a potem w milczeniu grzali się przy rozpalonym naprędce, niewielkim ognisku, które nie powinno wzbudzać mocnych podejrzeń. Shep przynajmniej z wyczarowaniem ognia nie miał problemu.

— No dobra, zanim jakiś mystokrata, bo dzisiaj mamy do nich szczęście, odkryje, że znowu bawisz się mocą… — sapnął Trus i opuścił kaptur. Wąs wojownika zdobiła wilgoć, chłód pomalował mu garbaty nos na czerwono. — Co dalej? Wiem, że zanim dorwiemy Hestę, mamy inne priorytety. Ale o niej też nie zapominajmy. — Związał włosy w luźną kitkę, czujnie rozglądał się na boki.

Shep nie chciał po raz setny powtarzać, że pewnie Fedris już sam pozbył się świadka swojej zbrodni, więc powiedział tylko:

— Znam każdy zakamarek pałacu. Wiem, jak wkraść się do wnętrza, powiedzmy, w miarę niepostrzeżenie.

— Ciekawe jak? Na pewno każdej dziury, dosłownie każdej, pilnują zastępy strażników.

— Poczekaj, poczekaj — przerwał Shep z nutą zniecierpliwienia. — Zrobimy to razem. Wślizgniemy się nocą, kiedy lochy są mniej strzeżone.

Gawet i Trus wymienili przeciągłe spojrzenie. Zapewne pomyśleli, że traci rozum. Trudno.

— Przecież tam i tak będą zastępy strażników — skwitował dawny vanitos.

— Możecie mi zaufać? — spytał z naciskiem Shep. — Oczywiście nie jestem taki naiwny, żeby twierdzić, że pójdzie gładko. Ale

znam wejścia do podziemi i wiem, że w nocy wartownicy sobie odpuszczają.

Milczeli, wpatrując się w niego z powątpiewaniem.

— Wślizgniemy się jednym z najmniej uczęszczanych wejść do lochów. Znam każdy korytarz w pałacu, mieszkałem na dworze dwadzieścia siedem wiosen. No i… teraz mam moc. A wy doskonale walczycie. Możecie mi zaufać? — powtórzył pytanie, nerwowo przy tym skubiąc rękaw płaszcza.

Znowu czuł się skołowany. Nie chciał wejść w rolę przywódcy, a przez swoją moc poniekąd nim został. Dotychczas przewodził im Sagurt, zwany Najwyższym Oświeconym, mystokrata z prawdziwego zdarzenia, który jednak zostawił ich na śmierć… Na samo wspomnienie złość znowu zalała Shepa falami. Dość. Nie będzie o nim teraz myślał.

Jego towarzysze ponownie wymienili spojrzenia, tym razem aż kipiące od niewypowiedzianych wątpliwości.

— Gdy byłem dzieciakiem, bawiliśmy się w kryptach — kontynuował Shep. — Owszem, zdarzały się sytuacje, że najmłodsi, a nawet dorośli gubili się w licznych korytarzach. Ale mam nadzieję, że znam je na tyle dobrze, że prędko trafimy do lochów. Przynajmniej znałem.

Zamilkł, mierząc ich iskrzącym od magii wzrokiem. Czuł, jak energia niespokojnie w nim pulsuje. Ciemne i wilgotne zakamarki ruiny wydały się bardziej przytłaczające, chłód dotkliwszy, a spojrzenia towarzyszy jeszcze mniej entuzjastyczne.

— Podziemia okrywa mrok. Są tam liczne wnęki, zakamarki i kryjówki. Chyba tylko tam mamy szansę. Co wy na to?

Przez dłuższą chwilę panowała cisza przerywana jedynie popiskiwaniem szczurojadów o długich pyskach. Towarzysze patrzyli na niego uważnie, jednak nic nie mógł wyczytać z ich twarzy.

— Chyba i tak nie mamy lepszego pomysłu, prawda? — spytał w końcu z ociąganiem Gawet. Shep wiedział, że dawny kapłan

będzie mu wsparciem, nawet jeśli pojawią się wątpliwości. Cały czas uważał, że uzdrowiciel jest wybrańcem bogów i należy go chronić za wszelką cenę.

— To co, drzemeczka? — spytał z przekąsem Trus. — Ja pierwszy i niech mi żaden tutaj nie gęga nad głową, jeśli mamy wleźć niedługo w to pałacowe bagno.

Gdy po chwili odpoczynku próbowali rozgrzać się wśród resztek topniejącego śniegu i lepkiego błota, w dzielnicy biedoty zawrzało.

— Król nie żyje! — Usłyszeli donośne nawoływania dzieciaków, które biegały jak szalone między chatami, roznosząc nowinę. Zewsząd docierały do nich pomruki, warknięcia, a nawet krzyki.

— Na dupę golema, biedak z karczmy miał rację — sapnął Trus z szeroko otwartymi oczami.

— Zmiana planu. — Shep czuł, jak jego myśli rozgrzewają się do czerwoności. Sam zdziwił się, jak mało obeszła go informacja o śmierci władcy, jakby to wszystko działo się gdzieś w innym świecie, który już go nie dotyczy. — Wślizgniemy się podczas koronacji. Panowie, to wymarzony moment!

— Bogowie nam sprzyjają. — Gawet pochylił głowę i odmówił pod nosem krótką modlitwę.

Łachmanowy Dołek aż grzmiał od nowiny. Bez wątpienia biedota nie kochała władcy Dereka, ale jeszcze mniejszą miłością darzyła jego następcę — Fedrisa. Podobne odczucia miała zresztą szlachta i klasa średnia. O organizowanych przez naczelnego mystokratę publicznych, wymyślnych torturach mówiono nawet daleko poza granicami krainy. To, co dla niego było sprawiedliwością, dla wielu świadczyło o wyjątkowym okrucieństwie. A teraz Fedris na pewno przejmie tron.

— Zgodnie z zasadami Persey, zmarłego króla żegna się w południe, a nowego wita po zmierzchu. Gdy słońce zejdzie niżej, zabiorę was na małą wycieczkę po podziemiach. — Shep zatarł ręce, czuł, jak narasta w nim nadzieja.

Rozsiedli się wygodniej i w milczeniu spałaszowali skromne resztki posiłku, Trus nucił pod nosem, Gawet oddał się kolejnej modlitwie, a Shep cały czas zastanawiał się nad planem, co było mu na rękę, bo dzięki temu nie musiał znowu myśleć o śmierci Awalii. Przez chwilę zastanawiał się też, czy powiedzieć kompanom o tym, że nocami miewa coraz bardziej realistyczne sny, które być może mógłby nazwać wizjami, ale postanowił, że jeszcze zachowa milczenie w tej kwestii.

Niebo zabarwiło się brudną szarością, siwy dym z kominów unosił się leniwie nad poruszoną stolicą, a cała Mafrona zdawała się żyć — słyszeli odległe odgłosy rozmów, okrzyki i nawoływania podekscytowanego ludu. Zdawało się, że dzisiaj nic nie miało znaczenia, oprócz śmierci władcy.

I w tym tkwiła ich przewaga.

Nagle w wyobraźni Shepa pojawiła się podłużna twarz, burza rudych loków i kocie oczy. Lilet. Nie myślał o niej od tak dawna. Nie czuł już do przeklętej kochanki nic poza obrzydzeniem, ale właśnie zjawili się w stolicy i wspomnienie wróciło. W końcu wyzwoliła się od męża. Ale czy śmierć Dereka ją uszczęśliwiła?

Bogowie tylko wiedzieli, jaki los czeka Lilet po pogrzebie małżonka. Shepa niewiele to jednak obchodziło. Na bogów, Lilet była już tylko mglistym wspomnieniem dawnego snu. Zanim myśli młodzieńca zdążyły umknąć ku Awalii, która o wiele bardziej zasługiwała na pamięć, odgonił je gwałtownie, jakby strzepywał z ramion śnieg. Te wspomnienia paliły zbyt dotkliwie, żeby pozwolił im pozostać na dłużej.

Po południu omówili szczegóły i ostrożnie ruszyli przed siebie ubłoconymi uliczkami Łachmanowego Dołka.

— A co potem, panowie? — rzucił z nutą rozbawienia Trus. — Uwolnimy naszych kompanów, pożegnamy się i każdy z nas zacznie długie i szczęśliwe życie?

— Oczywiście, że taki mam plan — odparł Shep, uśmiechnąwszy się pod nosem. — A wy nie?

— Dobrze, że już nie chcesz wywlec flaków Sagurta na wierzch.

Serce Shepa podskoczyło niespokojnie. Gdy usłyszał imię Wielmożnego, który nie tak dawno temu był im przewodnikiem, o ile nawet nie przyjacielem, poczuł gorycz złości i zawodu.

— Oświecony postąpił słusznie — powtórzył już po raz któryś Gawet. Potężny wojownik pewnie kroczył wąską uliczką. — Mógł nas ocalić albo uciec samotnie, żeby wypełnić wolę bogów, bo wszystko wskazuje na to, że uratuje świat. Ten wybór był najsłuszniejszy. Uwierzcie, byłem mu najbliższym towarzyszem przez lata, prawą ręką, i całkowicie go rozumiem. Jestem pewien, że zostawił nas z ciężkim sercem.

Shep nie mógł się nie zgodzić. Nawiedzany wizjami Sagurt był całkowicie przekonany o tym, że jest wybrańcem boga Antele i odegra potężną rolę w przewrocie świata. Mógł im pomóc w nierównej potyczce z demonami i prawdopodobnie skonać albo zostawić ich na pastwę potworów i samotnie uciec z pola walki, aby służyć bogom. Bez wahania dokonał wyboru.

No właśnie, bez wahania. Shep pojmował słuszność decyzji, ale w głębi serca czuł wściekłość i zawód, czuł się po prostu zdradzony. Marzył o tym, żeby już nigdy nie spotkać Sagurta. Nigdy, przenigdy, nawet w snach, chociaż to ostatnie już kilkukrotnie się nie spełniło.

— Pal licho Sagurta — rzucił tylko uzdrowiciel i splunął w resztki topniejącej zaspy.

— Shep, a ty? Nadal wierzysz w to, że jesteś wybrańcem? Tak jak twierdził Sagurt?

— W tym momencie nie jestem pewien, w co wierzę. Może nie byłem na tyle ważny, skoro Sagurt zostawił mnie w kręgu demonów. I może sam Sagurt wierzy w coś, co nie do końca jest prawdą… — odparł uzdrowiciel. Ale już po chwili wróciło do niego wspomnienie wizji Sagurta, przemiany w mystokratę, spotkania z demonem w żywym płaszczu w przedsionku bogów i nagłej eksplozji mocy, która pomogła im uciec z więzienia.

— Ale uciekliśmy. Bogowie nam sprzyjali. Jesteśmy w stolicy — podsumował Gawet.

— Skupmy się na drodze. — Uciął chłopak. — Spróbujmy wmieszać się w tłum. Wychodzimy z Łachmanowego Dołka.

Wkroczyli na niewielki dziedziniec, na którym sprzedawcy rozstawili pełne towarów stoiska. Było to najmniejsze targowisko w stolicy, na którym zaopatrywała się biedota i ubożsi mieszkańcy Mafrony. Niewielkie, ale hałaśliwe, śmierdzące i brudne.

Proste świeczniki, nadpleśniały chleb, butelka najtańszego goru… Przed oczami przesuwały im się liche produkty wrzucone na drewniane wozy. A za stoiskami widzieli różne twarze — od rodowitych Persejczyków, przez śniadych, ciemnowłosych ludzi z Pustyni Illet, aż po Gastlińczyków o skośnych oczach w kolorze srebra.

Mieszanka języków z różnych stron świata uderzyła w Shepa z pełną mocą. Ci sprzedawcy nie wyruszyli w stronę pałacu, żeby pożegnać króla, nie mogli zostawić towarów bez opieki tuż obok Łachmanowego Dołka, a co więcej — Derek mało ich obchodził. Ci kupcy byli w większości zwykłymi wyrzutkami, którzy uciekli ze swoich ojczyzn, by szukać szczęścia w najbogatszej krainie.

I zapewne tutaj go nie znaleźli.

Im bliżej pałacu, tym bardziej Mafrona uderzała majestatem. Dominowała, przytłaczała, ale jednocześnie kusiła.

Marmurowe uliczki i fasady domostw zdobiły czerwone kryształy i wielokolorowe kamienie. Im więcej zdobień, tym ważniejsze persony mieszkały w danym budynku. Alejki obsadzone zimorodnymi kwiatami o barwie słońca, kwitnącymi przez cały rok, tylko uwypuklały przepych.

Mafrona tonęła w kolorach złota i krwi.

Shep z nostalgią kroczył wilgotnymi ulicami, przywołując wspomnienia. Chociaż większość czasu spędzał w pałacu, ucztował w dzielnicy szlachty, do której właśnie wkroczyli. Tutaj budynki zachwycały dodatkowo pozłacanymi okiennicami i marmurowymi gzymsami.

Uzdrowiciel zerknął na Trusa. Kompan z rozdziawionymi ustami rozglądał się na boki i zapominał nawet o tym, żeby skryć twarz pod kapturem. Mimo że wybrali boczne uliczki, przepych aż zapierał dech w piersi. Dawny vanitos wrócił do stolicy po prawie dekadzie — z pewnością był oszołomiony i skołowany. Shep nigdy nie widział tak wyludnionej Mafrony, a do tej pory nie minęli nawet jednego oddziału straży lub mystokratów. Koronacja spadła im z nieba i w takich chwilach zaryzykowałby stwierdzenie, że Antele jednak im sprzyja nieco bardziej niż zwykłym śmiertelnikom.

Spiczasta kopuła pałacu była już na wyciągnięcie ręki. Do królewskiej siedziby prowadziły dziesiątki alejek, rozgałęziały się niczym promienie słońca. Shep doskonale wiedział, gdzie znajdowało się niewielkie wejście do podziemi, którego zapewne pilnują strażnicy, nawet mimo trwającej koronacji. Dotknął pulsującej obok serca mocy, która szarpnęła się niespokojnie. Już wkrótce ją uwolni.

Plan zdawał się prosty. Rozdzielą się i każdy pójdzie inną alejką. Shep wyruszy środkową, prosto pod drzwi do podziemnego wejścia.

Odwróci uwagę strażników, a w tym czasie Trus zajdzie od tyłu tego z lewej, a Gawet — tego z prawej. Warunek powodzenia ich planu był jeden: nikt nie może kręcić się w pobliżu.

Teraz widział w uliczce może ze trzy osoby, które w pośpiechu sunęły w stronę pałacu. A więc koronacja się zaczyna. Shep poczuł, jak serce skacze mu do gardła. Bał się. Mimo mocy dudniącej obok serca, stoczonych walk, nowych umiejętności — po ludzku się bał. Mocniej naciągnął kaptur na twarz, podobnie jak jego towarzysze.

Spojrzeli na siebie porozumiewawczo.

Rozdzielili się. Shep na drżących nogach ruszył przed siebie, minął dwa siwe konie i magiowóz. Spojrzał na pojazd przelotnie. Drewniana platforma otoczona barierką unosiła się nad brukiem, napędzana magią ducha. Z pewnością magiowóz należał do jednego z najbogatszych szlachciców, klasy średniej nie było stać na takie luksusy.

Shep otrząsnął się, skupił na drodze i wytężył wzrok. Byli tam. Obok drewnianych drzwi czatowali dwaj wartownicy w pozłacanych zbrojach. Młodzi, nawet bez płaszczy. Najniższa ranga. Ale w podziemiach na pewno spotkają więcej strażników, a być może nawet mystokratów. Fedris miał łeb na karku — nie pozostawiłby pałacu i lochów bez ochrony.

Shep wziął głęboki oddech i nieco chwiejnie ruszył w stronę mężczyzn. Rozejrzał się dyskretnie ostatni raz — tylko jedna kobieta truchtała w stronę pałacu. Miał też wrażenie, że po prawej stronie mignął mu Gawet, ale nie miał pewności.

— Panowie — zawołał do strażników. Tamci wbili w niego kamienne spojrzenia i poruszyli się ciut niespokojnie. — Panowie!

— Czego? — warknął ten po lewej. Zmierzył Shepa pogardliwym spojrzeniem z góry na dół. Zapewne widział biedaka w podniszczonym płaszczu w kolorze błota, z dłuższą brodą i głupkowatym uśmiechem na ustach. Nie musiał być miły.

— Panowie, którędy do głównej bramy? Na demoni zad, zabłądziłem. Chyba Tidele mnie poniósł w boczne alejki… — sapnął Shep, niby to mimochodem rozglądając się na boki. Jest. Gawet. Już zmierzał w ich kierunku.

— Głupiś, czy tylko na takiego wyglądasz? W prawo, dzbanie. Bo zaraz prawdziwy demon poniesie cię, ale na glebę.

— No dobrze, ale… — Shep poczuł ukłucie niepokoju. Nigdzie nie mógł dostrzec Trusa. — Panie… a które to prawo?

— Tam, i już cię nie ma. — Strażnik przewrócił oczami i z niecierpliwością machnął ręką, wskazując kierunek.

Młodzieniec przełknął ślinę i jeszcze raz spojrzał w lewo. Trusa ani śladu. Co do licha?

— A daleko to? — spytał uzdrowiciel nieco już drżącym głosem, drapiąc się po brodzie jakby w zamyśleniu.

Wartownik aż sapnął.

— Zaraz będzie na tyle daleko, że w ogóle tam nie dotrzesz — syknął. Położył rękę na prawym boku, gdzie spoczywała zimna stal ostrza.

— Dobrze, panowie, nie szukam zwady — odparł pośpiesznie Shep. Co ten Trus wyprawiał? Do licha, co robić? Co mówić? — Idę, idę, już idę… Ale jeszcze mam prośbę. Macie wolara? Albo ze dwa?

— Ty poczwarze! — Strażnik aż fuknął i sięgnął po miecz.

— Panuj nad sobą, Taks — warknął jego towarzysz. Położył wielką dłoń na ramieniu kompana. — Żadnych zadym, bo po tym ostatnim…

Jest! Shep zobaczył Trusa, który już truchtał w ich stronę.

— Mam dość tej hołoty! — pieklił się narwany zbrojny. — Ile można…

— Panowie, jakiś problem? Jeśli ten człowiek chce się dostać do pałacu, mogę go zabrać.

Shep usłyszał spokojny głos nieznajomego i serce stanęło mu w piersi.

Odwrócił się i zobaczył bogacza w magiowozie. Pojazd dryfował w powietrzu, a złota magia spływała z eleganckiej platformy. Nieznajomy siedział rozpostarty z przodu, obok niego półleżała prawdopodobnie jego żona, a z tyłu wychylał się pulchny chłopiec.

— Tatko, nie, fuj. Nie chcę żebraka... — Dziecko wyprostowało nogi na tylnej sofie na znak sprzeciwu.

— Fausie, zachowuj się! — syknęła ciemnowłosa kobieta, mierząc syna ostrym spojrzeniem.

— Na pewno śmierdzi, mamciu.

— Na pewno tak. Ale skoro ojciec jak zawsze jest taki dobroduszny, to sam usiądzie z nim na tyle. Prawda, Gwenie?

Shep miał wrażenie, jakby pod nogami osuwał mu się grunt.

— Nie, nie, ja niegodny, dziękuję...

— Nalegamy — powiedział z naciskiem strażnik, a w ciemnych oczach błysnęło coś więcej niż złość. Shep uświadomił sobie, że przesadził i nie może dalej ciągnąć przedstawienia. — Wsiadaj. I znikaj.

Niby może dojechać pod główną bramę i wrócić, ale...

Paniczne rozmyślania Shepa przerwało rżenie. Odwrócił się gwałtownie i zobaczył dwa konie, które mknęły w ich stronę. Za nimi gnał pulchny mężczyzna w wysokich butach i kapeluszu.

— Łapcie konie, moje konie! — krzyczał właściciel wierzchowców, próbując dogonić zdenerwowane zwierzęta. Wiatr porwał mu kapelusz i odsłonił łysą czaszkę.

— Odjeżdżamy! — wydarła się kobieta i szturchnęła męża w ramię. — Już, bo... — Nie zdążyła dokończyć, bo jeden z rumaków uderzył w magiowóz. Platforma przewróciła się z hukiem. Matka wywinęła koziołka, ojciec dostał końskim ogonem po twarzy, a dzieciak

rozdarł się w niebogłosy. Zbrojni wyjęli bronie, ale nie robili nic poza gapieniem się na poszkodowanych z rozdziawionymi ustami.

Shep odskoczył, zanim drugi wierzchowiec zrobił z niego papkę. Kobieta w pośpiechu wgramoliła się na platformę i mocno przytuliła rozhisteryzowanego syna. Konie pognały dalej, znikając w jednej z alejek. Za nimi kaczym biegiem podążył krępy mężczyzna.

— A pal was licho! — krzyknęła szlachcianka i uderzyła męża w ramię. Tamten pociągnął dźwignię i ruszyli z impetem przed siebie. — Nie wiecie, ile ten pojazd kosztuje! A jakim wydatkiem jest zasilanie platformy magią! Mąż kupił go od Wielmożnych po dziesięciu latach ciężkiej pracy! Pozwę was wszystkich, będę żądała zadośćuczynienia, będę... — Rozhisteryzowany głos niknął, w miarę jak oddalali się w kłębach złotej magii.

— To przecież rodzina Kolejlich... — Nerwowy strażnik aż zbladł. — Wiesz co, mam cię serdecznie dość... — Shep mógłby przysiąc, że dostrzegł obłęd w jego oczach. — Z twojej winy będziemy mieli kłopoty, robaku...

Nie dokończył monologu, bo Gawet właśnie przywalił mu w tył głowy. Trus podobnie potraktował drugiego strażnika. Obydwaj legli na bruk w tym samym momencie, kompletnie zamroczeni.

— Coś ty robił, u licha, Trus? — syknął Shep, rozglądając się nerwowo na boki. — Dalej, trzeba ich szybko zamknąć, póki są nieprzytomni!

— Zobaczyłem ten zasilany magią pojazd i... no wiecie, za moich czasów ich nie było i... eee...

— Oglądałeś sobie, u licha, magiowóz!? — Prawie krzyknął Shep.

— Nie teraz, pogawędzicie sobie potem. — Gawet już przeszukiwał kieszenie jednego z mężczyzn. Po chwili triumfalnie uniósł ciężkie klucze. Rzucił się w stronę drzwi do podziemi i pewną ręką otworzył zamek. Shep, nadal pełen niedowierzania, złapał za nogi pierw-

szego strażnika i zaczął ciągnąć go w stronę drzwi wejściowych. Trus poszedł w ślady uzdrowiciela i chwycił pod pachy drugiego nieszczęśnika.

Zasapani, wtoczyli się do ciemnego i pachnącego stęchlizną pomieszczenia.

— Ale przynajmniej uratowałem nam tyłki. Nieźle pogoniłem te konie, co? — dodał z nutą dumy Trus.

— Jeszcze będzie pora na tę rozmowę. Ale nie teraz. Zamkniemy tych dwóch w przedsionku po prawej, mamy klucze, nie wydostaną się. A my idziemy do... — Shep urwał nagle. Zamrugał, żeby upewnić się, że wzrok go nie myli.

W pomieszczeniu pod ścianą leżał trup.

Bezgłowy, w postrzępionej zbroi, zalany krwią trup.

ROZDZIAŁ 3

Fedris wpatrywał się w swoje odbicie w lustrze oprawionym marmurową ramą. Pierwszy raz od dawna przyodział białą szatę, która aż lśniła w półmroku komnaty. Obszyta złotymi topazami i krwistymi rubinami na połach, emanowała ochronną magią. Zaklinanie energii w przedmiotach było szalenie trudne i wymagało długich rytuałów, które przyjmowały tylko energię Wielmożnych. Fedris pomyślał, że być może niedługo magiczne szaty i bronie przestaną istnieć, jeśli wszyscy postradają zmysły.

Przyszły władca przesunął wzrokiem po rękawach z wzorami układającymi się w białe płomienie. Dotknął tkaniny, która mimo grubszego splotu, sprawiała wrażenie lekkiej. Ulotnej jak mgła. Z szacunku dla odchodzącego władcy nie miał na sobie ani dodatkowych ozdób, ani nawet butów. Dopiero gdy odprawi obrzędy pożegnalne dla brata, przygotuje się do koronacji.

Biel wyraźnie odcinała się na tle opalonej skóry i ciemnych włosów. W żaden sposób nie mógł jednak zamaskować wyczerpania. Czarne oczy niezdrowo lśniły w twarzy o nienagannych, niemal zbyt doskonałych rysach, wydatne kości policzkowe odcinały się ostrzej niż zwykle. Był znużony, tak bardzo znużony.

Co z tego, że doczekał się upragnionej koronacji, a władzę zyskał bez wysiłku i nie przelał ani jednej kropli krwi. Nie mógł cieszyć się gładkim zwycięstwem, gdy w podziemiach pałacu wyrósł dziwny twór, Wielmożni na potęgę tracili rozum, Sagurt polował na koronę, a on sam śnił koszmary. Tak jak Derek, który właśnie przegrał walkę z szaleństwem.